

## Clive Staples Lewis: Ostatnia noc świata

Doktryna powtórnego przyjścia uczy nas, że nie wiemy i nie możemy wiedzieć, kiedy dramat tego świata dobiegnie końca. Kurtyna może opaść w każdym momencie



**Doktryna powtórnego przyjścia uczy nas, że nie wiemy i nie możemy wiedzieć, kiedy dramat tego świata dobiegnie końca. Kurtyna może opaść w każdym momencie** - przeczytaj fragment książki *Ostatnia noc świata*, która ukazała się nakładem wydawnictwa Esprit

„Przyjdzie sądzić żywych i umarłych”, mówi Skład Apostolski. „Ten Jezus – mówią aniołowie w Dziejach Apostolskich – wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba”[2]. „Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego – mówi sam Pan (tymi słowami narażając się na ukrzyżowanie) – nadchodzącego na obłokach

niebieskich”[3]. Jeśli ta prawda nie stanowi integralnego elementu wiary raz objawionej świętym, to nie wiem, co miałyby nim być. Postaram się zatem na kolejnych stronach odnieść do kilku myśli mogących zniechęcać współczesnych do wiary w powrót, czyli w powtórne przyjście Zbawiciela, czy nawet do poświęcania temu wydarzeniu dostatecznej uwagi. Nie uważam się za eksperta w żadnej z omawianych dziedzin; chciałbym jedynie przedstawić nasuwające mi się refleksje w przeświadczeniu (być może mylnym), że mogą się one na coś przydać. Tęższe głowy niech je skorygują.

Powody zakłopotania, z jakim współcześni traktują ową doktrynę, dzielą się na dwie kategorie, które można określić jako względy teoretyczne i praktyczne. Najpierw zajmiemy się względami teoretycznymi.

Wielu unika tej doktryny w reakcji (według mnie całkiem słusznej) na system myślenia związany z wielkim nazwiskiem doktora Alberta Schweitzera[4]. Zgodnie z nauczaniem tej szkoły orędzie Chrystusa dotyczące Jego ponownego przyjścia i końca świata – to, co teologowie nazywają „apokaliptyką” tego orędzia – było istotą nauki Jezusa. Wszystkie inne doktryny wypływały z tej jednej; wszystkie Jego nauki moralne zakładały rychły koniec świata. W najskrajniejszym wydaniu pogląd ten, jak to chyba Chesterton[5] powiedział, sprowadza się do postrzegania Chrystusa jako kogoś w rodzaju wcześniejszego Williama Millera[6], który wywołał lokalną „panikę”. Nie chcę przez to powiedzieć, że doktor Schweitzer sam doszedł do takiego wniosku; wielu osobom wydaje się jednak, że jego myśl zmierza w tym właśnie kierunku. A zatem z obawy przed popadnięciem w pewną skrajność powstała tendencja do tłumienia tego, co szkoła Schweitzera zbyt akcentowała.

Co do mnie, to nienawidzę i nie ufam nie tylko reakcji w religii, ale reakcji w ogóle. Luter z pewnością miał wiele racji, porównując ludzkość do pijaka, który spadłszy z konia po prawej stronie, następnym razem spada po lewej. Jestem przekonany, że ci, którzy w apokaliptyce Chrystusa widzą całość Jego orędzia, tkwią w błędzie. Nic nie znika jednak – czy chociażby nie zostaje zdyskredytowane – przez to, że ktoś mówi o tym z przesadną emfazą; samo zjawisko pozostaje dokładnie tam, gdzie było. Jedyna różnica polega na tym, że jeśli ostatnio mówiono o nim z przesadą, teraz trzeba dołożyć wszelkich starań, by go nie deprecjonować; to bowiem jest strona, na którą najprawdopodobniej tym razem pijak spadnie.

Już samo słowo „apokaliptyka” zalicza wygłaszane przez Pana zapowiedzi powtórnego przyjscia do pewnej kategorii. Należą do niej i inne okazy: Apokalipsa Barucha, Księga Henocha czy Wniebowstąpienie Izajasza. Chrześcijanie są dalecy od postrzegania takich tekstów jako części Pisma Świętego, a w kontekście tego, co współczesna literatura proponuje, wydają się one rozwlekłe i nudne. Z tego rodzi się poczucie, że wiarygodność zapowiedzi Pana, będących „czymś w tym rodzaju”, została już podważona. Zarzuty pod ich adresem mogą przyjmować ostrzejszą lub łagodniejszą formę. Wersja ostrzejsza brzmiałaby w ustach ateisty mniej więcej tak: „Widzicie, że ostatecznie ten wasz osławiony Jezus był tak naprawdę takim samym wariatem albo szarlatanem jak wszyscy inni twórcy pism apokaliptycznych”. Wersja łagodniejsza, przyjęta raczej przez modernistę, prezentowałaby się następująco: „Każdy wielki człowiek po części należy do swojej epoki, a po części do całej historii. Prawdziwe znaczenie w jego dziele ma zawsze to, co wykracza poza jego epokę, a nie to, co miał wspólnego z tysiącem zapomnianych, współczesnych mu ludzi. Cenimy Shakespeare’a za wyróżniającą go sprawność języka i

znajomość ludzkiego serca, nie za wiarę w czarownice czy boskie prawa królów albo za zaniedbywanie codziennej kąpieli. To samo dotyczy Jezusa. Wiara w szybki i katastrofalny koniec historii nie jest wiarą wielkiego nauczyciela, ale prostego Palestyńczyka urodzonego w I wieku. Stanowiło to dla Niego jedno z nieuniknionych ograniczeń, o których najlepiej zapomnieć. Musimy skupić się na tym, co odróżniało Go od innych prostych Palestyńczyków pochodzących z I wieku; na Jego nauce moralnej i społecznej”.

Jako argument przeciwko temu, że Jezus powtórnie zstąpi na Ziemię, twierdzenie to budzi następujący sprzeciw. Gdy postulujemy, by w nauczaniu wielkiego człowieka ignorować te doktryny, które pokrywają się z myślą jego epoki, zakładamy niejako, że myśl tej epoki była błędna. Gdy podkreślamy ważność doktryn „wykraczających poza” myśl jego epoki i „należących do całej historii”, zakładamy, że to myśl naszej epoki jest słuszna; bo oczywiście przez myśli, które wykraczają poza epokę wielkiego człowieka; rozumiemy te zgadzające się z naszą. Cenię Shakespeare’a za przemianę dokonującą się w starym Learze bardziej niż jego poglądy na temat boskich praw królów, ponieważ zgadzam się z Shakespeare’em, że człowiek może być oczyszczony przez cierpienie jak Lear, ale nie uważam, żeby królom (czy jakimś innym władcom) należały się boskie prawa. Nie przestajemy cenić poglądów wielkiego człowieka, których nie uważamy za mylne, tylko dlatego że podzielali je jego współcześni. Pogarda, jaką Shakespeare żywił dla zdrady, czy też błogosławieństwo, którym Chrystus obdarzał ubogich, nie były obce poglądom ich epok; nikt jednak nie ma zamiaru ośmieszać ich z tego powodu. Nikt nie odrzuciłby apokaliptyki Chrystusa na podstawie tego, że apokaliptyka była znana w Palestynie w I wieku naszej ery, gdyby już wcześniej nie uznał, że ówczesna Palestyna myliła się w tej kwestii. Ale uznanie, że tak było, musi zostać zakwestionowane; nasze pytanie

bowiem dotyczy właśnie tego, czy oczekiwanie na katastroficzny i zarządzony Boskim nakazem koniec naszego wszechświata jest słuszne, czy nie.

Gdybyśmy zachowali w tej sprawie otwarty umysł, cały problem przedstawiłby się nam nieco inaczej. Jeśli koniec świata naprawdę ma nastąpić i jeśli Żydzi zostali przez swoją religię przygotowani na oczekiwanie go (a rzeczywiście tak było), to jest czymś zupełnie naturalnym, że uprawiali oni literaturę apokaliptyczną. Zatem tworzenie przez Pana Jezusa czegoś podobnego do innych tekstów apokaliptycznych nie musiałoby koniecznie wynikać z domniemanego zniewolenia przez błędy epoki, ale stanowiłoby Boskie przetworzenie nieskażonego elementu obecnego w ówczesnym judaizmie. Owszem, nawet czas i miejsce, w których Bóg zechciał się wcielić, zostałyby prawdopodobnie wybrane przez Niego właśnie ze względu na obecność w owym miejscu i w owym czasie akurat tego elementu, który dzięki Jego Boskiej Opatrzności został uprzednio stworzony w tym konkretnym celu. Bo gdy już raz przyjmujemy doktrynę Wcielenia Boga, musimy być, rzecz jasna, bardzo ostrożni, jeśli chcemy sugerować, że okoliczności kulturowe starożytnej Palestyny utrudniały albo wręcz wykoślawiały Jego naukę. Czyżbyśmy sądzili, że sceneria ziemskiego życia Boga została wybrana przypadkiem? Albo że jakaś inna byłaby lepsza?

Usłyszymy jednak o wiele gorsze zarzuty. „Mówcie sobie, co chcecie – powiedzą nam – apokaliptyczne wierzenia pierwszych chrześcijan okazały się fałszywe. Z Nowego Testamentu jasno wynika, że oczekiwali oni powtórnego przyjścia jeszcze za swojego życia. A co gorsza, mieli po temu powód, i to dla was dość kłopotliwy. Usłyszeli o tym od swojego Mistrza. On sam żywił – a raczej sam stworzył – to

złudzenie. Powiedział dosłownie: «Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie»[7]. I popełnił błąd. Najwyraźniej nie wiedział o końcu świata więcej niż ktokolwiek inny”.

Jest to z pewnością najbardziej kłopotliwy werset Biblii. Ale czy to nie dziwne, że dzieli go zaledwie dziewięć słów od stwierdzenia: „Lecz o dniu owym lub godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec”[8]? Jedyne przykłady błędów i jedyne przyznanie się do niewiedzy stoją o krok od siebie. Na pewno nie powinniśmy wątpić w to, że wyszły w tej kolejności z ust samego Jezusa, a nie zostały jedynie zestawione ze sobą przez sprawozdawcę. Gdyby nie był on całkowicie uczciwy, wcale nie przytoczyłby Jezusowego przyznania się do niewiedzy; jeśli to zrobił, to jedyną jego motywacją mogło być pragnienie powiedzenia całej prawdy. I gdyby późniejsi kopiści nie byli tak samo uczciwi, nigdy nie zachowaliby tej (na pozór) błędnej przepowiedni odnoszącej się do „tego pokolenia” po tym, jak upływ czasu obnażył (pozorną) pomyłkę Jezusa. Ten urywek (Mk 13, 30–32) oraz wołanie „Czemuś Mnie opuścił?” (Mk 15, 34) stanowią najsilniejszy dowód historycznej wiarygodności Nowego Testamentu. Ewangelista posiadają pierwszą, najważniejszą cechę uczciwych świadków: przytaczają fakty, które są na pierwszy rzut oka sprzeczne z ich główną tezą.

Fakty zatem są następujące: Jezus (w pewnym sensie) przyznał się do niewiedzy i niemal w tej samej chwili faktycznie się nią wykazał. Wiara we Wcielenie, wiara w to, że Jezus jest Bogiem, sprawia, że trudno jest pojąć Jego nieświadomość; ale równocześnie daje ona pewność, że jeśli On sam się do niej przyznał, to rzeczywiście zabrakło Mu w tym momencie wiedzy. Bowiem Bóg, który może czegoś nie wiedzieć, mniej zaskakuje niż Bóg, który fałszywie przyznaje się do niewiedzy.

Teologowie uważają, że Bóg-Człowiek był wszechwiedzący jako Bóg i niewiedzący jako Człowiek. Jest to niewątpliwie prawda, choć niewyobrażalna. Równie trudno wyobrazić sobie nieświadomość Chrystusa we śnie albo mrok, w którym tonął Jego dziecięcy rozum; nie mówiąc już o zaledwie organicznym życiu w łonie matki. Jednakże nauki ścisłe w nie mniejszym stopniu niż teologia każą nam wierzyć w wiele zjawisk nie do wyobrażenia.

Pokolenia, które zaaprobowało zakrzywienie przestrzeni, nie powinna zdumiewać niemożność wyobrażenia sobie świadomości wcielonemu Bogu. W Jego świadomości zjednoczone było to, co czasowe, i to, co bezczasowe. Myślę, że w tym miejscu możemy uznać tajemnicę, pod warunkiem że nie będziemy jej jeszcze bardziej wikłać przez naszą skłonność do wyobrażania sobie bezczasowego życia Boga po prostu jako innego rodzaju czasu. Popełniamy ten błąd, ilekroć pytamy, jak Chrystus mógł być w tej samej chwili nieświadomy i wszechwiedzący albo jak mógł być tym Bogiem, który się nie zdrzemnie ani nie zaśnie<sup>[9]</sup> podczas snu. Wyróżnione słowa kryją w sobie próbę ustalenia relacji czasowej między bezczasowym życiem Chrystusa jako Boga a konkretnymi dniami, miesiącami i latami, które przeżywał jako Człowiek. A relacji takiej oczywiście nie ma. Wcielenie nie jest epizodem w życiu Boga: Baranek jest zabity – a zatem z założenia narodził się, w pełni dojrzały i wskrzeszony z martwych – w wieczności. Przyjęcie przez Boga natury ludzkiej z całą jej niewiedzą i wszystkimi ograniczeniami samo w sobie nie jest wydarzeniem czasowym, mimo że człowieczeństwo w ten sposób przyjęte, tak jak nasze własne, było czymś obecnym w konkretnym czasie i poddanym śmierci. A jeśli ludzkie ograniczenia, wraz z naturalną dla nich niewiedzą, zostały przyjęte, to powinniśmy oczekiwać, że w pewnym momencie faktycznie zostaną one ujawnione. Trudno byłoby zaakceptować to – a mnie wręcz by od tego odrzucało – że Jezus nigdy nie zadał prawdziwego pytania,

to znaczy takiego, na które nie znał odpowiedzi. Uczyniłoby to Jego człowieczeństwo czymś tak niepodobnym do naszego, że niemal nie zasługiwałoby ono na to miano. Łatwiej mi wierzyć, że kiedy Jezus zapytał: „Kto się mnie dotknął?” (Łk 7, 45)[10], naprawdę chciał znać odpowiedź.

Trudności, które omawialiśmy do tej pory, są do pewnego stopnia argumentami pomocniczymi. Mogą one raczej wzmacniać niewiarę płynącą z innych źródeł, niż same z siebie ją budzić. Teraz dochodzimy do czegoś o wiele poważniejszego i często mniej uświadomionego. Doktryna o powtórny przyjsciu jest głęboko niezgodna z całym ewolucyjnym i postępowym charakterem współczesnej myśli. Nauczono nas myśleć o świecie jako o czymś, co powoli rozwija się w kierunku doskonałości, o czymś, co „idzie z duchem czasu” albo „ewoluuje”. Chrześcijańska apokaliptyka nie daje nam takiej nadziei. Nie przepowiada nawet (co byłoby lżej strawne dla naszego sposobu myślenia) stopniowego rozkładu. Przepowiada nagły, gwałtowny koniec wymuszony z zewnątrz; gasidło nagle założone na świecę, cegłę rzuconą w gramofon, kurtynę opuszczoną w środku przedstawienia – stop!

Na ten głęboko zakorzeniony sprzeciw mogę odpowiedzieć tylko tak, że moim zdaniem współczesna koncepcja postępu czy też ewolucji (jak ją sobie powszechnie wyobrażamy) jest po prostu mitem, niepopartym absolutnie żadnymi dowodami.

Powiedziałem: „ewolucja, jak ją sobie powszechnie wyobrażamy”. Nie mam najmniejszego zamiaru podważać darwinizmu jako twierdzenia z zakresu biologii. Teza ta może mieć pewne braki, ale teraz wcale mnie

one nie obchodzą. Być może pojawiają się przesłanki, by sądzić, że biologowie już rozważają odrzucenie teorii Darwina, ale nie mnie to osądzać. Można by nawet wysunąć hipotezę, że tym, czego w rzeczywistości dowiódł Darwin, nie jest wcale pochodzenie, tylko eliminacja gatunków, ale nie zamierzam tu deliberować na ten temat. Na użytek niniejszego artykułu zakładam, że biologia darwinowska jest zgodna z prawdą. Chodzi mi tylko o ukazanie nieuprawnionego przejścia od teorii Darwina w biologii do współczesnego mitu ewolucjonizmu, rozwoju czy postępu w ogóle.

Pierwszą rzeczą, którą musimy zauważyć, jest to, że mit ten powstał wcześniej niż teoria, przed zdobyciem jakichkolwiek dowodów. Dwa wielkie dzieła sztuki stanowią wcielenie idei wszechświata, w którym za sprawą jakiejś wrodzonej konieczności to, co „wyższe”, zawsze zastępuje to, co „niższe”. Pierwszym jest *Hyperion* Keatsa, a drugim *Pierścień Nibelungów* Wagnera. Oba są wcześniejsze niż rozprawa *O pochodzeniu gatunków*. Idei rozwoju czy progresywizmu nie można wyrazić jaśniej niż słowami Oceanusa:

Takie jest prawo: kto pierwszy pięknocią  
Ten ma być pierwszy i władzą[11].

Nie znajdzie się też gorliwszego poddaństwa wobec niej niż w słowach, jakimi Wagner opisał swoją tetralogię:

Postęp całego wiersza zatem – pisał do Röckela w 1854 roku – ukazuje konieczność uznania i podporządkowania się zmienności, różnorodności, wielości i nieustannej nowości tego, co rzeczywiste.

Wotan wznosi się na tragiczne wyżyny pragnienia własnego upadku. To jest wszystko, czego możemy się nauczyć z historii ludzkości – pragnąć konieczności i samemu sprawić, by nastąpiła. Dziełem, które owa najwyższa i wyrzekająca się siebie wola wreszcie stwarza, jest nieustraszony i stale kochający człowiek, Zygfyrd”[12].

A zatem twierdzenie, że ów mit (zajmujący tak ważne miejsce w całej myśli współczesnej) jest efektem biologii Darwina, byłoby ahistoryczne. Wręcz przeciwnie: atrakcyjność darwinizmu polegała na tym, że dawał on wcześniej istniejącemu mitowi naukowe uzasadnienie. Gdyby nie znaleziono żadnych dowodów ewolucji, trzeba by je było wymyślić. Prawdziwe źródła tego mitu są po części polityczne. Jest to rzucona na ekran kosmosu projekcja uczuć zrodzonych w epoce rewolucji.

Po drugie, musimy zauważyć, że darwinizm w żaden sposób nie dowodzi słuszności poglądu, iż selekcja naturalna oparta na zmienności losowej ma ogólną tendencję do napędzania postępu. Złudzenie, że tak jest, bierze się z tych kilku gatunków, które (według naszego, być może arbitralnego osądu) zmieniły się na lepsze. I tak koń udoskonalił się w tym sensie, że protohippos byłby dla nas mniej pożyteczny niż jego potomek. Antropoid udoskonalił się w tym sensie, że stał się istotą ludzką. Ale wielka liczba zmian wywołanych przez ewolucję nie może być uznana za zmianę na lepsze według żadnego możliwego do wyobrażenia standardu. Ludzie ocalają życie w bitwie czasem przez atak, czasem przez rejteradę. Tak samo w walce o przetrwanie gatunki ratują się czasem przez doskonalenie, a czasem przez upośledzanie swoich zdolności. W historii biologicznej nie obowiązuje ogólne prawo postępu.

A po trzecie, nawet gdyby obowiązywało, nie można by z niego wyciągnąć wniosku, że istnieje jakieś prawo postępu w historii etyki, kultury czy historii społecznej (bo ewidentnie tak nie jest). Nikt patrzący na historię świata bez wcześniej przyjętej idei postępu nie mógłby się w niej doszukać stałej tendencji wzrostowej. Postęp najczęściej dokonuje się w pewnej dziedzinie przez określony czas. Szkoła garncarstwa czy malarstwa, wysiłek moralny zmierzający w konkretnym kierunku, sztuki praktyczne, takie jak projektowanie urządzeń sanitarnych lub budowa statków, mogą się ustawicznie rozwijać na przestrzeni lat. Gdyby proces ten mógł objąć wszystkie dziedziny życia i trwać w nieskończoność, mielibyśmy do czynienia z „Postępem”, w jaki wierzyli nasi ojcowie. Ale wygląda na to, że sprawy nigdy tak nie wyglądają. Rozwój zostaje albo zahamowany (przez niespodziewaną wizytę barbarzyńców czy jeszcze skuteczniejszą infiltrację nowoczesnego industrializmu), albo – co jeszcze dziwniejsze – prowadzi do rozkładu. Idea, która wypiera z naszych myśli powtórne przyjście Chrystusa, idea świata powoli dojrzewającego do doskonałości, jest mitem, a nie generalizacją wynikającą z doświadczenia. I jest to mit, który odciąga nas od prawdziwych obowiązków i tego, co powinno nas naprawdę interesować. To próba odgadnięcia przez nas fabuły dramatu, w którym jesteśmy postaciami. Tylko jak postacie mogą odgadnąć fabułę? Nie jesteśmy autorem sztuki ani jej reżyserem, ani nawet publicznością. Występujemy w spektaklu. Dobre odegranie scen, w których bierzemy udział, jest dla nas o wiele ważniejsze niż zgadywanie, co będzie się działo w następnych.

W Królu Learze (akt III, scena 7) występuje postać odgrywająca tak poślednią rolę, że Shakespeare nie nadał jej nawet imienia: nazwał ją po prostu „Pierwszym Sługą”. Wszystkie pojawiające się obok niego postacie – Regan, Cornwall i Edmund – mają wspaniałe, dalekosiężne

plany. Wydaje im się, że wiedzą, jak ta historia się skończy, lecz grubo się mylą. Sługa zaś jest pozbawiony takich złudzeń. Nie ma pojęcia, jak sztuka ma się zakończyć. Ale rozumie rozgrywającą się scenę. Zauważa dziejący się na jego oczach (oślepienie starego Glouceстера) koszmar. Nie może tego znieść. W jednej chwili wyciąga miecz i mierzy w pierś swego pana – w następnej chwili Regan przebija go od tyłu. To cała jego rola: nie więcej niż osiem linijek. Ale gdyby to nie działo się w sztuce, tylko w prawdziwym życiu, najlepiej byłoby znaleźć się w tej właśnie roli.

Doktryna powtórnego przyjścia uczy nas, że nie wiemy i nie możemy wiedzieć, kiedy dramat tego świata dobiegnie końca. Kurtyna może opaść w każdym momencie; na przykład zanim dokończysz czytać ten akapit. Dla niektórych jest to nieznośnie frustrujące. Tyle przerwanych spraw! Może w przyszłym miesiącu miałeś brać ślub, może w przyszłym tygodniu dostałbyś podwyżkę, może jesteś na progu epokowego odkrycia, a może planujesz wielkie społeczne i polityczne reformy. Chyba żaden dobry i mądry Bóg nie postępowałby tak nedorzecznie, przerywając to wszystko? A już na pewno nie teraz!

Ale możemy tak myśleć tylko dlatego, że we własnym mniemaniu znamy całą sztukę. Otóż nie. Nie wiemy nawet, czy występujemy w akcie pierwszym, czy w piątym. Nie wiemy, kto jest główną, a kto drugorzędną postacią. To wie tylko Autor. Publiczność, o ile jest jakaś publiczność (jeśli aniołowie i archaniołowie, i wszystkie chóry niebios wypełniają parter i balkony), może się czegoś domyślać. Ale my, którzy nigdy nie widzieliśmy sztuki od zewnątrz, nigdy nie spotkaliśmy innych postaci poza tą garstką, która znajduje się na scenie razem z nami, całkowicie nieświadomi przyszłości i dysponujący bardzo ograniczoną wiedzą na temat przeszłości, nie potrafimy powiedzieć, w którym

momencie powinna opaść kurtyna. Możemy być pewni, że sztuka skończy się, kiedy powinna; tracimy jednak czas, starając się ów moment odgadnąć. Możemy też być pewni, że ma ona jakieś znaczenie, choć go nie znamy. Kiedy przedstawienie dobiegnie końca, być może usłyszymy jakieś wyjaśnienie. O ile nam wiadomo, możemy oczekiwać, że Autor będzie miał do powiedzenia każdemu z nas coś na temat odegranej roli. To, czy ją dobrze odegraliśmy, będzie miało nieskończenie wielkie znaczenie.

Nie należy zatem odrzucać doktryny o powtórny przyjsciu tylko dlatego, że nie zgadza się ona z naszą ulubioną współczesną mitologią. Dlatego właśnie powinniśmy bardziej ją doceniać i częściej o niej rozmyślać. Jest to lekarstwo szczególnie potrzebne w naszym stanie zdrowia.

*Clive S. Lewis*

[1]Esej Ostatnia noc świata wydrukowano w „Religion for Life” (pod tytułem Chrześcijańska nadzieja – co to znaczy dzisiaj, zimą 1952 roku).

[2]Dz 1, 11.

[3]Mt 26, 64.

[4]Albert Schweitzer (1875–1965) – francusko-niemiecki teolog, duchowny luterański, filozof, lekarz uhonorowany w 1953 roku Pokojową Nagrodą Nobla za założenie szpitala Lambaréné w Gabonie. Schweitzer był zdeklarowanym pacyfistą i głosił poszanowanie życia każdego stworzenia, konieczność niesienia mu ratunku i łagodzenia cierpienia [przyp. red.].

[5]Gilbert Keith Chesterton (1874–1936) – brytyjski pisarz, konserwatysta i apologeta chrześcijański [przyp. red.].

[6]William Miller (1782–1849) – amerykański kaznodzieja baptystyczny, autor przepowiedni o końcu świata, który miał nastąpić w 1843 lub 1844 roku, twórca adwentyzmu. Dzień, w którym miał nastąpić zapowiadany koniec świata, nazwano potem dniem Wielkiego Rozczarowania.

[7]Mk 13, 30.

[8]Mk 13, 32.

[9]Ps 121, 4.

[10]Właściwie Łk 8, 45.

[11]J. Keats, *Hyperion*, tłum. J. Kasproicz, Warszawa 1924, s. 27.

[12]Tłum. M.S.; tekst oryginalny: „Der Fortgang des ganzen Gedichtes zeigt demnach die Notwendigkeit, den Wechsel, die Mannigfaltigkeit, die Vielheit, die ewige Neuheit der Wirklichkeit und des Lebens anzuerkennen und ihr zu weichen. Wotan schwingt sich bis zu der tragischen Höhe, seinen Untergang – zu wollen. Dies ist alles, was wir aus der Geschichte der Menschheit zu lernen haben: das Notwendige zu wollen und selbst zu vollbringen. Das Schöpfungswerk dieses höchsten, selbstvernichtenden Willens ist der endlich gewonnene furchtlose, stets liebende Mensch: Siegfried”.

Pełniejszy wgląd w powstanie tego potężnego mitu zaprowadziłby nas do niemieckich idealistów, a stamtąd (jak słyszałem) przez Boehmego aż do alchemii. Czyżby całe dialektyczne podejście do historii było gigantyczną projekcją starego marzenia o produkcji złota? [przyp. aut.].